



Laureat  
NAGRODY  
NOBLA  
2017

KAZUO ISHIGURO

# Niepocieszony



# Rozdział 1

Kierowca taksówki wydawał się zakłopotany tym, że nikt – nawet recepcjonista – nie czeka na mnie z powitaniem. Przemierzył opustoszały hol, jakby w nadziei, że za jednym z kwiatów lub foteli odkryje jednak kogoś z personelu. W końcu postawił moje walizki przy drzwiach windy i mamrocząc pod nosem jakieś usprawiedliwienie, zostawił mnie samego.

Hol był na tyle przestronny, że bez trudu mieściło się w nim kilka stolików, a i tak pozostawało sporo wolnego miejsca. Sufit natomiast był niski i wyraźnie wybruszony ku dołowi, co sprawiało, że w pomieszczeniu panowała nieco klaustrofobiczna atmosfera. Chociaż na dworze świeciło słońce, wewnątrz tonęło w półmroku. Tylko w pobliżu recepcji na ścianie kładła się jasna smuga światła, oświetlająca fragment boazerii z ciemnego drewna oraz stojak wypełniony niemieckimi, francuskimi i angielskimi czasopismami. Dostrzegłem też srebrny dzwonek na kontuarze; właśnie miałem do niego podejść i potrząsnąć, gdy otworzyły się za mną jakieś drzwi i pojawił się w nich młody człowiek w uniformie.

– Dzień dobry panu – powiedział zmęczonym głosem i przeszedł za kontuar, po czym przystąpił do wypełniania rejestracyjnych formalności. Choć przeprosił zdawkowo za swoją nieobecność, przez jakiś czas obchodził się ze mną dość bezceremonialnie. Dopiero gdy wymieniłem swoje nazwisko, otrząsnął się nagle i wyprostował.

– Bardzo pana przepraszam, panie Ryder, nie poznałem pana. Pan Hoffman, kierownik hotelu, pragnął powitać pana osobiście, lecz właśnie musiał się udać na ważne spotkanie.

– Nic nie szkodzi. Będziemy jeszcze mieli okazję się spotkać.

Recepcjonista pospieszenie dokończył wypełniać formularze, cały czas mamrocząc, jak bardzo niezadowolony będzie kierownik, gdy się dowie, że przegapił mój przyjazd. Dwa razy napomknął o nawale spraw związanych z przygotowaniami do „czwartkowego wieczoru”, które zmuszają szefa do częstszego niż zwykle przybywania poza hotelem. W odpowiedzi kiwałem tylko głową, niezdolny zebrać dość siły, by go zapytać, jaki ma charakter ów „czwartkowy wieczór”.

– Aaa, pan Brodsky świetnie sobie dziś radzi – powiedział recepcjonista z nagłymżywieniem. – Naprawdę świetnie. Rano przeprowadził czterogodzinną próbę z orkiestrą. Teraz też go słyszać. Wciąż ciężko pracuje, sam szuka rozwiązań.

Wskazał ręką tylną część holu. Dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że gdzieś w budynku gra fortepian, ledwo słyszalny przez dobiegające z zewnątrz stłumione odgłosy ulicy. Uniosłem głowę i wyteżyłem słuch. Ktoś grał w kółko jedną krótką frazę z drugiej części *Pionowości* Mullery’ego, powoli i w skupieniu.

– Oczywiście, gdyby kierownik był na miejscu – kontynuował recepcjonista – być może wywołałby pana Brodsky’ego z pokoju, aby go panu przedstawić. Choć nie jestem pewien... – Zaśmiał się. – Nie wiem, czy należy mu przeszkadzać. Widzi pan, przy tak głębokiej koncentracji...

– Tak, oczywiście. Innym razem.

– Gdyby kierownik był na miejscu... – Urwał i znowu się zaśmiał. Nagle nachylił się i powiedział cicho: – Niektórzy goście mieli czelność się skarżyć, że zamykamy salon, tak jak teraz, za każdym razem, gdy pan Brodsky potrzebuje fortepianu. Da pan wiarę? Doprawdy, niektórzy ludzie myślą dziwnymi kategoriami! Dwie różne osoby skarżyły się wczoraj panu Hoffmanowi. Może pan być pewien, że natychmiast im pokazano gdzie ich miejsce.

– Rozumiem. Brodsky, mówi pan... – Zastanowiłem się, lecz nazwisko to z niczym mi się nie kojarzyło. Nagle zauważyłem, że recepcjonista patrzy na mnie z wyraźnym zakłopotaniem,

więc powiedziałem szybko: – Tak, tak. Z przyjemnością poznam pana Brodsky’ego, w odpowiednim czasie.

– Gdyby tylko był kierownik, proszę pana...

– Proszę się nie martwić. Jeśli to już wszystko, chciałbym teraz...

– Oczywiście, proszę pana. Musi pan być bardzo zmęczony po tak długiej podróży. Oto pański klucz. Gustav zaprowadzi pana do pokoju.

Odwrociłem się i ujrzałem boya hotelowego w starszym wieku, który czekał na mnie po drugiej stronie holu. Stał przy otwartych drzwiach windy, wpatrując się w jej wnętrze z wyrazem skupienia na twarzy. Drgnął, gdy do niego podszedłem. Następnie podniósł moje walizki i pospieszył za mną do windy.

Kiedy ruszyliśmy do góry, wciąż trzymał moje walizki, choć od wysiłku krew zaczęła nabiegać mu do twarzy. Ponieważ obie były bardzo ciężkie, poważna obawa, że mógłby przede mną zemdleć, kazała mi powiedzieć:

– Powinien je pan postawić.

– Cieszę się, że pan o tym wspomniał – rzekł, a z jego głosu trudno było odgadnąć, ile wysiłku kosztuje go utrzymanie walizek. – Kiedy wiele, wiele lat temu rozpoczynałem pracę w tym zawodzie, zazwyczaj kładłem torby na podłodze. Dźwigałem je tylko wtedy, gdy było to absolutnie konieczne. W ruchu, by tak rzec. Prawdę mówiąc, metodę tę stosowałem tutaj przez pierwszych piętnaście lat pracy. Wielu młodych boyów hotelowych w tym mieście wciąż tak postępuje. Ale na pewno nie ja, już nie. Poza tym nie jedziemy wysoko, proszę pana.

Przez chwilę staliśmy w milczeniu.

– Więc pracuje pan w tym hotelu już jakiś czas – odezwałem się.

– Dwadzieścia siedem lat, proszę pana. Wiele w tym czasie widziałem. Ale oczywiście hotel stał tu już na długo przed moim przybyciem. Podobno w osiemnastym wieku jedną noc spędził w nim Fryderyk Wielki, a już wtedy musiała to być karczma z długą tradycją. O tak, w ciągu tych lat dochodziło tu do wydarzeń o ogromnym znaczeniu historycznym. Później, kiedy pan odpocznie, chętnie panu opowiem o niektórych z tych wydarzeń.

– Lecz nie wyjaśnił mi pan jeszcze, dlaczego nie uznaje pan stawiania bagażu na podłodze – powiedziałem.

– Ach tak – przyznał. – To ciekawa sprawa. Jak się pan zapewne domyśla, w mieście takim jak nasze jest dużo hoteli. Znaczy to, że wielu jego mieszkańców próbowało kiedyś swoich sił w zawodzie boya hotelowego. Niestety, wielu miejscowych myśli, jak się zdaje, że wystarczy włożyć liberię i człowiek zaraz staje się zdolny do wykonywania tego zawodu. Jest to złudzenie szczególnie w tym mieście hołubione. Można to nazwać lokalnym mitem. Muszę przyznać, że był czas, gdy sam bezmyślnie się z tym zgadzałem. Pewnego jednak razu, a było to wiele lat temu, pojechałem z żoną na krótkie wczasy do Lucerny w Szwajcarii. Moja żona już nie żyje, ale zawsze, gdy o niej myślę, wracam pamięcią do tamtych krótkich wakacji w pięknym zakątku nad jeziorem. Na pewno zna pan to miejsce. Po śniadaniu pływalismy łódką. Ale wracając do tematu, podczas naszego pobytu zauważyłem, że mieszkańcy tamtego miasta patrzą na swoich boyów zupełnie inaczej niż ludzie tutejsi. Jak by to ująć? Boye hotelowi cieszą się tam dużo większym szacunkiem. Najlepsi mają w mieście pewną renomę, a najbardziej luksusowe hotele walczą między sobą o ich usługi. Muszę powiedzieć, że otworzyło mi to oczy. Lecz w naszym mieście dawne przekonanie utrzymuje się już od wielu, wielu lat. Czasami się zastanawiam, czy kiedykolwiek uda się je wykorzenić. Nie twierdzę, że ludzie są dla nas niemili. Skądże, zawsze traktowano mnie tutaj grzecznie i z szacunkiem. Ale widzi pan, zawsze wyczuwa się pewne przekonanie, że przecież ten zawód mógłby wykonywać każdy, gdyby tylko miał na to ochotę, gdyby miał taką fantazję. Jak przypuszczam, wynika to stąd, że każdy w tym mieście miał okazję przenosić bagaż z miejsca na miejsce. Ci, którzy to robili, zakładają, że na tym właśnie polega praca boya hotelowego. W ciągu tych lat zdarzało się, że ludzie jadący ze mną w tej windzie mówili: „Czasami myślę, że mógłbym porzucić swój zawód i zatrudnić się jako boy hotelowy”. Tak, proszę pana, tak. Pewnego dnia, niedługo po naszym krótkim pobycie w Lucernie, jeden z ważniejszych radnych tego miasta odezwał się do mnie tymi słowami: „Kiedyś chciałbym się tym zająć”. Mówiąc to, wskazał na torby. „Oto życie dla mnie. Wolne



od wszelakich trosk”. Przypuszczam, że próbował być dla mnie miły, sugerując, że można mi zazdrościć mojej pozycji. Byłem wtedy dużo młodszy, nie trzymałem toreb w rękach, lecz stawiałem je na podłodze, tu, w tej windzie, toteż rzeczywiście mogłem wówczas sprawiać takie wrażenie. Wie pan, że jestem wolny od trosk, jak sugerował tamten džentelmen. To przeważało. Nie, nie znaczy to, że słowa tamtego pana same w sobie tak bardzo mnie rozzłościły. Ale kiedy je wypowiedział, naraz jakby wszystko mi się ułożyło w głowie. Wszystko, co od pewnego czasu zaprzętało moje myśli. Jak już wspomniałem, niedawno wróciłem z wczasów w Lucernie, gdzie miałem okazję spojrzeć na sprawy z innej perspektywy. Pomyślałem więc sobie: nadszedł czas, żeby boye hotelowi w tym mieście zmienili wreszcie to powszechne wśród miejscowych nastawienie. Widzi pan, w Lucernie widziałem coś zupełnie innego i czułem, że tutaj nasza sytuacja naprawdę nie jest dobra. Po długim namyśle zdecydowałem się przedsięwziąć osobiście pewne środki zaradcze. Oczywiście, już wtedy zapewne wiedziałem, jak trudne zadanie sobie stawiam. Może się nawet domyślałem, że moje pokolenie nie doczeka owoców tych starań, że sprawy posunęły się za daleko. Ale, myślałem, gdyby udało mi się choć trochę poprawić stan rzeczy, ułatwiłoby to zadanie tym, którzy przyjdą po mnie. A zatem przyjąłem pewne reguły postępowania i trwam przy nich od dnia, gdy ów radny miejski wypowiedział tamte pamiętne słowa. Z dumą mogę oświadczyć, że kilkunastu innych boyów hotelowych w tym mieście poszło w moje ślady. Nie znaczy to, że obrali oni dokładnie tę samą strategię co ja. Przyjęli, powiedzmy, porównywalną.

– Rozumiem. Jedną z owych reguł zabrania panu stawiać walizki na podłodze i każe trzymać je przez cały czas w rękach.

– Otóż to. Widzę, że bez trudu podąża pan za tokiem mojego rozumowania. Muszę, niestety, przyznać, że kiedy przyjmowałem te reguły, byłem dużo młodszy i silniejszy i nie brałem pod uwagę postępującego z wiekiem osłabienia. To zabawne, proszę pana, ale zwykle nie bierze się tego pod uwagę. Inni boye mówią to samo. Mimo wszystko staramy się zachowywać nasze dawne postanowienia. Po latach tworzymy dość zwartą, dwunastoosobową grupę, tyłu nas bowiem pozostało spośród tych, którzy

wiele lat temu próbowali coś zmienić. Gdybym miał się dziś z czegoś wycofać, czułbym, że zdradzam innych. I gdyby ktoś z pozostałych wyrzekł się teraz którejś ze swoich dawnych reguł, czułbym to samo. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości, zatem w mieście naszym dokonał się pewien postęp. Wprawdzie przed nami jeszcze daleka droga, często jednak dyskutujemy na ten temat. W każdą niedzielę po południu spotykamy się w kawiarni Węgierskiej na Starym Mieście... mógłby pan przyjść i do nas dołączyć, byłby pan mile widzianym gościem... Tak więc często omawiamy te sprawy i wszyscy jesteśmy zgodni, bez cienia wątpliwości, że stosunek mieszkańców tego miasta do boyów hotelowych znacznie się poprawił. Młodszy, którzy przyszedli po nas, uważają to za oczywiste, lecz my, grupa z kawiarni Węgierskiej, dobrze wiemy, że to dzięki nam coś się zmieniło, choćby tylko w niewielkim stopniu. Gdyby zechciał pan do nas dołączyć, czulibyśmy się zaszczytzeni, a ja miałbym przyjemność przedstawić pana pozostałym członkom grupy. Nasze spotkania nie mają już tak oficjalnego charakteru jak dawniej i od pewnego czasu w szczególnych okolicznościach zapraszamy do naszego stolika gości z zewnątrz. O tej porze roku przyjemnie jest siedzieć w łagodnych promieniach popołudniowego słońca. Mamy stół w cieniu markizy, z widokiem na Stary Rynek. To bardzo przyjemne miejsce, proszę pana. Jestem pewien, że się panu spodoba. Ale wracając do mojego wywodu: często dyskutujemy na ten temat w kawiarni Węgierskiej. Mam na myśli nasze dawne postanowienia, przyjęte wiele lat temu. Widzi pan, żaden z nas się nie zastanawiał, co będzie, gdy się zestarzejemy. Przypuszczam, że byliśmy zbyt pochłonięci pracą, by myśleć o przyszłości dalszej niż następny dzień. A być może nie przewidzieliśmy, jak wiele trzeba będzie czasu, by zmienić te głęboko zakorzenione postawy. No i proszę, mam tyle lat, ile mam, i z każdym rokiem jest mi coraz ciężej.

Boy hotelowy przerwał na chwilę i zdawało się, że pomimo wysiłku fizycznego głęboko się nad czymś zastanawia.

– Będę z panem szczery, po co udawać – rzekł w końcu. – Kiedy byłem młodszy, kiedy po raz pierwszy ustanowiłem dla siebie owe reguły, zawsze podnosiłem do trzech walizek naraz, bez względu na ich wielkość czy ciężar. Jeśli gość miał czwartą,

stawiałem ją na podłodze. Ale z trzema nigdy nie miałem kłopotu. Niestety, cztery lata temu trochę zaniemogłem i było mi coraz ciężej. Po dyskusji w kawiarni Węgierskiej ustaliliśmy, że nie muszę być dla siebie aż tak surowy. Przecież chodzi tylko o to, przekonywali mnie, by pokazać gościom coś z prawdziwej natury naszej pracy. Dwie czy trzy torby, efekt będzie ten sam, mogę więc bez obaw zmniejszyć swoje minimum z trzech walizek do dwóch. Zgodziłem się z nimi, chociaż wiem, że to nie do końca prawda. Widzę przecież, że wrażenie, jakie sprawiam, nie jest już takie samo. Przyzna pan, że nawet najmniej wprawny obserwator zauważy znaczną różnicę między boyem hotelowym dźwigającym trzy torby a tym, który dźwiga tylko dwie. Zdaję sobie z tego sprawę i nie zamierzam przed panem ukrywać, że trudno mi się z tym pogodzić. Wróćmy jednak do tematu. Mam nadzieję, że rozumie pan teraz, dlaczego nie chcę postawić pańskich walizek. Ma pan tylko dwie. Jeszcze przynajmniej przez kilka lat nie będzie to przekraczać moich możliwości.

– Tak, wszystko to jest niezwykle chwalebne – powiedziałem. – Może być pan pewien, że wywarł pan na mnie pożądane wrażenie.

– Chcę, aby pan wiedział, że nie jestem jedynym, który musiał dokonać pewnej korekty. Sprawy te są ciągle przedmiotem naszych dyskusji w kawiarni Węgierskiej. Prawdę mówiąc, każdy z nas musiał coś zmienić. Proszę jednak nie myśleć, że pozwalamy sobie na zaniżanie własnych standardów. Gdyby tak było, nasz wieloletni trud poszedłby na marne. Szybko stalibyśmy się pośmiewiskiem miasta. Przechodnie szydziłoby z nas, widząc, jak siedzimy przy naszym stoliku w niedzielne popołudnia. O nie, jesteśmy dla siebie twardzi i, co bez wątpienia potwierdzi panna Hilde, społeczność miasta zaczęła szanować nasze niedzielne zebrania. Jak już mówiłem, pańska obecność wśród nas byłaby bardzo mile widziana. Zarówno kawiarnia, jak i rynek są w te słoneczne popołudnia niezwykle przyjemne. Od czasu do czasu właściciel kawiarni zamawia cygańskich skrzypków, aby grali na rynku. Czuje on dla nas najwyższy szacunek. Kawiarnia nie jest duża, lecz właściciel zawsze dba o to, by nie zabrakło miejsca i by każdy z nas mógł się wygodnie



usadowić przy naszym stoliku. Nawet wówczas, gdy w pozostałej części lokalu panuje duży ruch, pilnuje, by tłum na nas nie napierał ani nam nie przeszkadzał. Nawet w najruchliwsze popołudnia, gdyby wszyscy przy naszym stoliku rozpostarli jednocześnie ramiona, nikt by się nie dotykał. Tak wielki szacunek czuje dla nas właściciel. Jestem pewien, że panna Hilde potwierdzi moje słowa.

– Przepraszam – wtrąciłem – kim jest panna Hilde, na którą wciąż się pan powołuje?

Wypowiedziawszy te słowa, zauważyłem, że boy hotelowy, spoglądając ponad moim ramieniem, wpatruje się w jakiś punkt za mną. Odwróciłem się, by ze zdumieniem stwierdzić, że nie jesteśmy w windzie sami. W rogu stała drobna młoda kobieta w prostym i gustownym kostiumie urzędniczkim. Widząc, że wreszcie ją zauważyłem, uśmiechnęła się i postąpiła krok do przodu.

– Przepraszam – powiedziała do mnie – proszę nie myśleć, że podsłuchiwałam, ale też nie mogłam nie słyszeć, co panowie mówili. Wysłuchawszy Gustava, muszę, niestety, stwierdzić, że jest trochę niesprawiedliwy wobec nas, mieszkańców tego miasta, gdy mówi, że nie cenimy naszych boyów hotelowych. Oczywiście, że cenimy, a najbardziej obecnego tu Gustava. Wszyscy go kochamy. Sam pan widzi, że nawet w tym, co przed chwilą panu opowiedział, przeczy sam sobie. Czym bowiem, jeśli jesteśmy wobec nich aż tak obojętni, wyjaśnić szacunek, z jakim się do nich odnoszą w kawiarni Węgierskiej? Doprawdy, Gustavie, bardzo brzydko z twojej strony, że wszystkich nas przedstawiasz panu Ryderowi w tak fałszywym świetle.

Choć kobieta powiedziała to z wyraźną czułością w głosie, boy hotelowy wydawał się srodze zawstydzony. Odwrócił się do nas bokiem, objając sobie nogi ciężkimi walizkami, i skierował zakłopotane spojrzenie w inną stronę.

– To mu powinno wystarczyć – rzekła kobieta z uśmiechem. – Należy do najlepszych. Wszyscy go kochamy. Jest niezwykle skromny, więc sam nigdy by panu nie zdradził, że inni boye w tym mieście patrzą na niego z podziwem. Można nawet bez przesady powiedzieć, że otaczają go prawdziwą czcią. Niekiedy można zobaczyć, jak siedzą przy swoim stoliku

w niedzielne popołudnie i nie śmia nic powiedzieć, póki nie przybędzie Gustav. Mają poczucie, że rozpoczynanie debaty bez niego byłoby nietaktem. Często siedzą w milczeniu nad kawą, w dziesięciu lub jedenastu, i czekają. Co najwyżej wymieniają pojedyncze szept, jak gdyby byli w kościele. Dopiero z chwilą przybycia Gustava rozluźniają się i zaczynają rozmawiać. Warto pójść do kawiarni Węgierskiej tylko po to, żeby być świadkiem przybycia Gustava. Muszę panu powiedzieć, że różnica w zachowaniu przedtem i potem jest bardzo wyraźna. W jednej chwili widzi się posępne, stare twarze, zgromadzone w milczeniu wokół stołu, po czym zjawia się Gustav i wszyscy zaczynają się śmiać i krzyczeć. Szturchają się w żartach, poklepują po plecach. A niekiedy nawet tańczą, tak, na stole! Mają swój taniec, Taniec Boyów Hotelowych, czyż nie, Gustavie? Naprawdę świetnie się bawią. Ale to wszystko dopiero po jego przybyciu. Oczywiście on sam nigdy by panu tego nie powiedział, jest zbyt skromny. Wszyscy go tutaj bardzo kochamy.

W trakcie tej wypowiedzi Gustav musiał coraz bardziej się od nas odwracać, bo gdy spojrzałem w jego stronę, stał tyłem do nas, zwrócony do przeciwległego rogu windy. Jego nogi ugięły się pod ciężarem walizek, ręce drżały. Głowę zwiesił tak nisko, że stała się dla nas prawie niewidoczna, trudno jednak było zgadnąć, czy wynikało to z jego wstydlivosti, czy też po prostu z wysiłku.

– Przepraszam, panie Ryder – powiedziała kobieta – jeszcze się panu nie przedstawiłam. Jestem Hilde Stratmann. Polecono mi dopilnować, by w czasie pańskiego pobytu u nas wszystko przebiegało gładko. Bardzo się cieszę, że wreszcie pan dotarł. Zaczynaliśmy się już lekko niepokoić. Wszyscy czekali na pana rano, póki mogli, lecz wielu miało ważne spotkania i musiało odejść. Zatem to właśnie mnie, skromnej pracownicy Obywatelskiego Instytutu Sztuk Pięknych, przypadło w udziale oznajmić panu, jak wielkim zaszczytem jest dla nas wszystkich pańska wizyta.

– Bardzo się cieszę, że tu jestem. Ale powiedziała pani przed chwilą, że rano...

– Proszę się nie przejmować rankiem, panie Ryder. Nikt nie poczuł się urażony. Najważniejsze, że jest pan z nami. Wie pan,

w jednym na pewno mogę się zgodzić z Gustavem, a mianowicie w sprawie Starego Rynku. To naprawdę bardzo atrakcyjne miejsce i zawsze radzę przyjezdnym, by się tam przeszli. Panuje tam wspaniała atmosfera: mnóstwo kawiarenek, sklepów rękodzielniczych, restauracji. To niedaleko stąd, więc powinien pan skorzystać z okazji, gdy tylko pozwoli panu na to program pobytu.

– Postaram się pójść za pani radą. A skoro już mowa o moim programie, panno Stratmann... – Przerwałem umyślnie, oczekując, że młoda kobieta przeprosi mnie za zapominalstwo i być może wyjmie z walizeczki jakiś papier lub broszurkę.

Ale choć rzeczywiście wpadła mi w słowo, powiedziała tylko:

– To bardzo napięty program, ale mam nadzieję, że możliwy do zrealizowania. Staraliśmy się ograniczyć go wyłącznie do spraw najważniejszych. Oczywiście zewsząd posypały się propozycje: z towarzystw, lokalnych środków przekazu i tak dalej. Cieszy się pan tutaj wielką popularnością, panie Ryder. Wielu mieszkańców miasta wierzy, że jest pan nie tylko najwybitniejszym żyjącym pianistą świata, ale i największą osobistością naszych czasów. Sądzimy, że ostatecznie udało się nam ograniczyć pański program do rzeczy najistotniejszych. Mam nadzieję, że nie będzie pan miał powodów do niezadowolenia.

W tym momencie drzwi windy się rozsunęły i boy hotelowy ruszył korytarzem. Z powodu obciążenia szurał nogami po dywanie, ja zaś i panna Stratmann, idąc za nim, także musieliśmy przyjąć podobne tempo, aby go nie wyprzedzić.

– Chyba jednak nikt się nie obraził – odezwałem się po drodze – że w moim programie zabrakło dla niego miejsca?

– Ach nie, proszę się nie martwić. Wszyscy wiemy, po co pan tutaj przyjechał, i nikt nie chce się narażać na zarzut, że panu przeszkadza. W gruncie rzeczy wszystko w pańskim programie, z wyjątkiem dwóch dość ważnych uroczystości, wiąże się mniej czy bardziej bezpośrednio z czwartkowym wieczorem. Oczywiście zdążył się pan już zapoznać z programem wizyty.

Tę ostatnią uwagę wypowiedziała tonem, który nie pozwolił mi odpowiedzieć zgodnie z prawdą. Wymamrotałem tylko:

– Tak, oczywiście.

– Tak, to bardzo napięty program. Przede wszystkim kie-

rowaliśmy się pańskim życzeniem, by mógł pan jak najwięcej ujrzeć na własne oczy. Bardzo chwalebne podejście, jeśli wolno mi wyrazić swoją opinię.

Boy hotelowy zatrzymał się przed drzwiami do jednego z pokoi. Opuścił wreszcie moje walizki na podłogę i zaczął majstrować przy zamku. Kiedy go dogoniliśmy, znów podniósł bagaże i wtoczył się do pokoju ze słowami:

– Proszę za mną.

Już miałem to uczynić, gdy panna Stratmann położyła mi dłoń na ramieniu.

– Nie zatrzymam pana długo – powiedziała. – Chciałabym tylko zapytać, czy w pańskim programie znalazło się coś, z czego nie jest pan zadowolony.

Drzwi się zatrzasnęły i zostaliśmy sami na korytarzu.

– Cóż, panno Stratmann – odezwałem się – ogólnie mówiąc, wydał mi się bardzo... bardzo dobrze ułożony.

– Na pańską prośbę zostało zorganizowane spotkanie z Obywatelską Grupą Wzajemnego Wsparcia. Do grupy należą osoby różnych profesji, które czują się poszkodowane przez obecny kryzys. Będzie pan miał okazję dowiedzieć się z pierwszej ręki, przez co musieli przejść niektórzy ludzie.

– Ach tak. Niewątpliwie będzie to bardzo przydatne.

– Jak pan zapewne zauważył, uszanowaliśmy także pańską wolę spotkania się z panem Christoffem. W tych okolicznościach doskonale rozumiemy, dlaczego chciał się pan z nim spotkać. Jak się pan domyśla, pan Christoff jest zachwycony. Naturalnie ma on własne powody, dla których chciałby się z panem spotkać. Chodzi mi o to, że on i jego przyjaciele będą się usilnie starali przekonać pana do własnej oceny sytuacji. Oczywiście wszystko to będą bzdury, ale na pewno pomoże to panu zdobyć ogólne rozeznanie w naszej obecnej sytuacji. Wygląda pan na bardzo zmęczonego, panie Ryder. Nie chcę już pana dłużej zatrzymywać. Oto moja wizytówka. Jeżeli będzie pan miał jakieś pytania lub kłopoty, proszę dzwonić.

Podziękowałem jej i przez chwilę patrzyłem, jak oddala się korytarzem. Kiedy wszedłem do pokoju, w myślach wciąż jeszcze rozważałem różne aspekty naszej rozmowy i dopiero po chwili zauważyłem stojącego przy łóżku Gustava.

– Ach, jest pan.

Przywykłem już do boazerii z ciemnego drewna, która dominowała w całym budynku, nie spodziewałem się więc, że ujrzę tak jasny i nowocześnie urządzony pokój. Ściana naprzeciwko prawie w całości była ze szkła. Przez pionowe żaluzje przyjemnie sączyło się słońce. Moje walizki stały jedna przy drugiej obok szafy.

– Pozwoli pan, że mu wyjaśnię, jak korzystać z wygod – powiedział Gustav. – Dzięki temu spędzi pan tutaj czas tak wygodnie, jak to możliwe.

Chodziłem za Gustavem po pokoju, podczas gdy on demonstrował mi różne przełączniki i inne udogodnienia. W pewnym momencie zaprowadził mnie do łazienki, gdzie kontynuował wyjaśnienia. Już chciałem mu przerwać, jak to zwykle robię w podobnych sytuacjach, lecz zapał, z jakim wypełniał swoje obowiązki, próba nadania osobistego charakteru czemuś, co musiał wielokrotnie powtarzać każdego dnia, poruszyły mnie i kazały mi słuchać dalej. Ale gdy tak wyjaśniał, machając ręką w stronę różnych części pokoju, przyszło mi na myśl, że mimo całego swojego profesjonalizmu, mimo autentycznego pragnienia, by zapewnić mi wygodę, pewna sprawa, która przez cały dzień zaprzętała jego umysł, ponownie wypłynęła na powierzchnię. Znów martwił się o swoją córkę i jej synka.

Kiedy kilka miesięcy wcześniej zaproponowano mu ten układ, Gustav nie przypuszczał, że może mu on przynieść cokolwiek oprócz niczym niezakłóconej radości. Raz w tygodniu miał poświęcać kilka godzin po południu na spacer z wnukiem po Starym Mieście, by zapewnić Sophie trochę czasu dla siebie. Co więcej, układ natychmiast zdał egzamin i już po paru tygodniach dziadek i wnuk wypracowali pewien porządek dnia, z którego obie strony były nad wyraz zadowolone. Kiedy nie padało, zaczynali spacer od placu zabaw, gdzie Boris miał okazję demonstrować swoje ostatnie wyczyny. W razie deszczu spacer zaczynał się w muzeum łodzi i żaglówek. Następnie przechadzali się uliczkami Starego Miasta, zaglądając do niektórych sklepów z upominkami, niekiedy zatrzymywali się na Starym Rynku, aby popatrzeć na mima lub akrobatę. Ponieważ stary boy hotelowy był w tej okolicy znaną postacią, co chwila ktoś

ich pozdrowiał i Gustav wysłuchiwał licznych komplementów na temat wnuka. Następnie szli na stary most obserwować przepływające pod nim łódki. Ich wędrówka kończyła się w ulubionej kawiarence, gdzie zamawiali ciastko albo lody i czekali na powrót Sophie.

Początkowo te małe wycieczki sprawiały Gustavowi ogromną przyjemność. Ale większy kontakt z córką i wnukiem unocnił mu fakty, które dawniej odsuwał od siebie, do chwili, gdy nie mógł już dłużej udawać, że wszystko gra. Przede wszystkim chodziło o ogólny nastrój Sophie. W pierwszych tygodniach opuszczała ich wyraźnie uradowana, spiesząc do centrum miasta, by zrobić zakupy lub spotkać się z przyjaciółką. Ale ostatnio zaczęła się ociągać, jakby nie miała co ze sobą zrobić. Ponadto pojawiły się wyraźne oznaki, że owe kłopoty – cokolwiek to było – zaczynają wyciskać piętno na Borisie. Wprawdzie zazwyczaj jego wnuk nadal był radosny jak zawsze, Gustav jednak zauważył, że od czasu do czasu, zwłaszcza na wzmiankę o jego życiu rodzinnym, przez oblicze chłopca przeciąga chmura. Dwa tygodnie temu zaś wydarzyło się coś, o czym boy hotelowy nie mógł przestać myśleć.

Kiedy przechodził z Borisem obok jednej z wielu kawiarni na Starym Mieście, nagle zauważył w środku swoją córkę. Ponieważ okno ocieniała markiza, całe wnętrze kawiarni było doskonale widoczne. Sophie siedziała samotnie przy stoliku nad filiżanką kawy i wyglądała na zupełnie przygnębioną. Odkrycie, że nie zdobyła się nawet na opuszczenie Starego Miasta, nie mówiąc już o wyrazie jej twarzy, wywarło na Gustavie piorunujące wrażenie – tak wielkie, że dopiero po chwili zaświtało mu w głowie, by odwrócić uwagę Borisa. Było już jednak za późno – podążając za wzrokiem dziadka, Boris rzucił przelotne spojrzenie w stronę matki, ale natychmiast odwrócił głowę i obaj ruszyli w dalszą drogę, ani słowem nie komentując tego zdarzenia. Boris odzyskał dobry humor już po kilku minutach, niemniej jednak epizod ten poważnie wzburzył umysł boya hotelowego i od tej pory wielokrotnie powracał do niego w myślach. Wspomnienie tamtego incydentu było przyczyną jego zamyślenia w holu i pochłonęło go znowu, kiedy oprowadzał mnie po pokoju.



Polubiłem tego staruszka i poczułem dla niego współczucie. Długo już nad tym wszystkim rozmyślał i istniało niebezpieczeństwo, że te zmartwienia nabiorą w jego oczach wyolbrzymionych rozmiarów. Miałem nawet zamiar porozmawiać z nim na ten temat, ale gdy skończył, znowu opadło mnie znużenie, które czułem od opuszczenia samolotu. Postanowiłem, że poruszę ten temat innym razem, i odprawiłem go, wręczając mu suty napiwek.

\*

Kiedy zamknęły się za nim drzwi, zwałem się w ubraniu na łóżko i przez chwilę gapiłem się bezmyślnie w sufit. Z początku moje myśli krążyły wokół Gustava i jego problemów, ale po pewnym czasie wróciłem myślami do rozmowy z panną Stratmann. Nie ulegało wątpliwości, że miasto oczekiwało ode mnie czegoś więcej niż zwykłego recitalu. Gdy jednak próbowałem przypomnieć sobie jakieś szczegóły dotyczące tej wizyty, moja pamięć zawodziła. Zdałem sobie sprawę, jak niemądrze postąpiłem, nie wyjawiając pannie Stratmann całej prawdy. Jeśli nie dostałem programu wizyty, wina leżała po jej stronie, nie po mojej, więc moje asekurantwo było całkowicie nieuzasadnione.

Znowu skupiłem się na nazwisku Brodsky i tym razem nasunęło mi się nieodparte wrażenie, że nie tak dawno coś o nim słyszałem lub czytałem. Potem przypomniałem sobie pewien moment z mojej długiej, dopiero co zakończonej podróży. Siedziałem w zaciemnionej kabinie i przy włączce wężłego światła studiowałem program swojej wizyty. Inni pasażerowie spali. W pewnej chwili siedzący obok mnie mężczyzna się obudził i po paru minutach rzucił jakąś żartobliwą uwagę. A właściwie, o ile dobrze pamiętam, nachylił się i zadał mi jakieś kwizowe pytanie, coś na temat piłkarzy biorących udział w mistrzostwach świata. Aby uniknąć rozproszenia uwagi, zbyłem go niezbyt uprzejmą odpowiedzią. Wszystko to wróciło teraz do mnie. Pamiętałem gruby, szary papier, na którym wydrukowany był program, bladożółtą plamę padającego z góry światła, warkot silników – ale za nic nie potrafiłem sobie przypomnieć, co owa kartka zawierała.

Po kilku minutach poczułem przypływ znużenia i uznałem, że dopóki się nie prześpię, dalsze rozważania nie mają większego sensu. Wiedziałem z doświadczenia, że po wypoczynku wszystko przedstawia się o wiele jaśniej. Później mogę się udać do panny Stratmann, wytłumaczyć jej całe nieporozumienie, poprosić o program wizyty i wypytać ją o wszystko, co będzie wymagało wyjaśnienia.

Właśnie zaczynałem zapadać w sen, gdy nagle coś kazało mi na nowo otworzyć oczy i spojrzeć na sufit. Przyglądałem mu się dobrą chwilę, a następnie usiadłem na łóżku i rozejrzałem się dokoła, czując, jak z każdą sekundą narasta we mnie przeświadczenie, że widok ten nie jest mi obcy. Uprzytomniłem sobie, że pokój, w którym się znajdowałem, był dokładnie tym samym pokojem, który służył mi jako sypialnia w ciągu dwóch lat spędzonych z rodzicami w domu mojej ciotki na pograniczu Anglii i Walii. Ponownie rozejrzałem się po pokoju, po czym opadłem z powrotem na łóżko i jeszcze raz przyjrzałem się sufitowi. Niedawno otynkowano go i pomalowano, zwiększono jego rozmiary, usunięto gzymsy, całkowicie zmieniono dekoracje wokół lampy. Bezsprzecznie jednak był to ten sam sufit, który w owych czasach tyle razy oglądałem ze swojego wąskiego, skrzypiącego łóżka.

Przewróciłem się na bok i spojrzałem na podłogę przy łóżku. W miejscu, gdzie stawia się nogi, leżał ciemny dywanik. Przypomniłem sobie, że niegdyś w tym samym miejscu podłoga przykryta była zieloną, wytartą matą, na której kilka razy w tygodniu ostrożnie rozmieszczałem formacje moich plastikowych żołnierzyków; w sumie miałem ich ponad sto i przechowywałem je w dwóch puszkach po biskoptach. Wyciągnąłem rękę i pogłaskałem dywanik, co obudziło we mnie wspomnienie pewnego popołudnia, gdy – zatopiony w świetle swoich plastikowych żołnierzyków – usłyszałem z dołu odgłosy gwałtownej kłótni. Głosy naładowane były furją, toteż nawet jako sześć- czy siedmioletnie dziecko wiedziałem, że nie jest to zwykła sprzeczka. Powiedziałem sobie jednak, że to nic takiego, i ponownie kładąc policzek na zielonej macie, dalej snułem swoje plany wojenne. W pobliżu środka maty była wyszarpana dziura, która zawsze bardzo mnie drażniła. Lecz tamtego po-

południa, przy wtórze dobiegających z dołu wrzasków, po raz pierwszy przyszło mi na myśl, że dziurę tę można wykorzystać, traktując jako teren pokryty krzewami, przez które muszą się przedzierać moi żołnierze. Odkrycie to – że skaza, która zawsze zagrażała integralności mojego wyimaginowanego świata, może się w istocie stać jego częścią – wywołało we mnie podniecenie i odtąd „krzew” ów wielokrotnie odgrywał niebagatelną rolę w bitwach, które potem aranżowałem.

Wszystko to przypomniało mi się, kiedy leżałem z oczyma wlepionymi w sufit. Oczywiście przez cały ten czas miałem świadomość, że wygląd pokoju został gruntownie zmieniony. Ale myśl, że po tylu latach znów się znalazłem w świątyni mojego dzieciństwa, wzbudziła we mnie poczucie głębokiego spokoju. Zamknąłem oczy i przez chwilę zdawało mi się, że znów otaczają mnie wszystkie znane mi sprzęty. W rogu po prawej stronie wysoka, biała szafa z ułamanym uchwytem. Obraz katedry w Salisbury na ścianie nad moją głową. Przy łóżku szafka z dwoma szufladami pełnymi moich małych skarbów i sekretów. Wszystkie napięcia tego dnia – długi lot, nieporozumienia wokół programu mojej wizyty, troski Gustava – powoli odpływały i czułem, jak zanurzam się w głęboki sen człowieka wyczerpanego.